№ 15. Piątek, dnia 8 Stycznia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 27 grudnia (8 stycznia) 1874/5 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

OD REDAKCYI.

Donieśliśmy już czytelnikom naszym o zgonie ś. p. *Jana Chęcińskiego*, nastąpionym dnia 29 grudnia 1874 roku. Zanim, jako najbliżej może wtajemniczeni w szczegóły życia przedwcześnie zmarłego poety, podamy o nim obszerniejsze wspomnienie pośmiertne — czujemy się w obowiązku zawiadomić tych wszystkich, dla których nazwisko *Chęcińskiego* i zasługi jego na polu krajowej poezyi, dramaturgii i literatury dziecinnej nie były obcemi — dla których tem samem los pozostałych po nim sierot nie może być obojętnym, o prawdziwie obywatelskim czynie Redakcyi *Wieku*. Całkowity *czysty zysk* osiągnięty ze sprzedaży ostatniej pracy *Chęcińskiego: Krytyków*, komedyi w pięciu aktach, wierszem, mającej się wydać nakładem Redakcyi *Wieku* w osobnej książce, taż Redakcya przznacza dla pozostałych po Chęcińskim dzieci.

Cena prenumeraty wynosi: w Warszawie rs. 1 za jeden egzemplarz; na prowicyi i w cesarstwie z przesyłką rs. 1 kop. 25. Książkę, która zawierać będzie około 13 arkuszy druku, odbiorą prenumeratorowie w końcu lutego r. b. Prenumeratę przyjmuje kantor Redakcyi *Wieku*. Redakcya *Ogniska Domowego* chętne na siebie w zbieraniu prenumeraty bierze pośrednictwo, wstrzymując się od wszelkiej zachęty o poparcie tego wydawnictwa, którego cel sam za sobą przemawia.

W imionniku [1].

Drogę wiary i miłości,
Trwałej pracy, poświęcenia,
Niech ci Stwórca opromienia
Niech ci Anioł-Stróż uprości!

W pierwszych serca władz rozkwicie,
Już twe czucia pojąć mogą,
Że się tylko taką drogą,
Nie marnuje nasze życie.

Młody bracie! idź nią śmiało;
Nie drżej wobec gorzkiej czary....
Nie ma czynu bez ofiary,
Łatwa chwała—nie jest chwałą.

Idź, w najdroższej mając cenie
Zgodę z własną twoją duszą;
Na tym gruncie wejść ci muszą:
Cześć, współczucie i wspomnienie!

JAN CHĘCIŃSKI.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE
od X-go do XII-go wieku.

szkicował ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

III. CYDEBUR.

Obok Dąbrówki, za pierwszych lat rządów Mieszka-Lamberta, najwybitniejszą postacią w kraju naszym był brat jego Cydebur. Jego imię spotykamy w kronikach obcych dopiero 972 roku, ale już o wcześniejszym bycie rodzeństwa Mieszkowego wiemy od Gallusa. Mówi on, zwięzłemi wprawdzie ale dobitnemi słowy, że Semomysł potroił, to jest trzykrotną siłę nadał pamięci swych rodziców, tak liczbą potomstwa jak i ich godnością. Znaczy się to, że prócz Mieszka-Lamberta, było jeszcze dwóch synów. Wiadomość ta Gallusa poparta zdaniem wcześniejszego odeń kronikarza ruskiego Witubinda okazuje nam, jak błędnem było przekonanie tych, którzy sądzili, że w liczbie trojga dzieci Semomysła była Adelaida—żona Gejzy króla węgierskiego.

Że przynajmniej wspomniane przez Gallusa dzieci Semomysła są płci męzkiej, przekonywamy się najdowodniej z dziejów. O jednym synu Semomysła słyszeliśmy, że gdy Wichman hrabia saski, po dwakroć najechał Mieszka, w jednej z bitw ubił mu brata. Niewiemy jego imienia. O drugim bracie Mieszka czytamy przy opisie zatargów jego z *równymi* mu co do godności rządzcami (margrabiami, komesami) prowincyi niemieckich. O tej spółrzędności Mieszka z nieprzyjaznymi mu margrabiami Udonem (Ottonem) i Sygfrydem, wspominamy tu umyślnie, gdyż kronikarz Dytmar, syn owego Sygfryda dał powód do fałszywego ocenienia stosunków tych hierarchicznych przeniesionym (antytecznym) sposobem opisania pewnych szczegółów feudalnych.

Pisze mianowicie Dytmar, że do domu, gdzie bawił Udo, Mieszko nieśmiał wchodzić „w krzeznie" (crusinatus), albo też siedzieć, gdy tamten wstawał. Tylko w pierwszej chwili można dać się uwieść temu opisowi, i sądzić, że w nim wyrażona została jakaś wyższość hierarchiczna Udona nad Mieszkiem i jego braćmi. W gruncie zaś rzeczy przekonywamy się z dziejów, że lubo książę „Lachów kujawskich" został podwakroć zbity przez Wichmana, w tej samej pono epoce, gdy Gero zwojował Łużyczan [1], przecie może odtąd datująca wierność lennicza Mieszka-Lamberta dla Ottona II („fidelis, amicus") i płacenie haraczu po Wartę, z jednej strony, niepołożyła, tamy zatargom granicznym nowego margrabi z dawnymi, jak z drugiej strony niepowstrzymywała przyjaciela Ottona II od walk z krewnymi lub od związku z przeciwnikami jego albo jego syna Ottona III. Tak widzimy, że Wichman (967 r.) na czele Wolinów z nad Odry, po raz trzeci napastując Mieszka, śmierć poniósł w dwa ognie wzięty przez kujawskie i posiłkowe Czechów pułki. 975 i 984 roku wchodził znów Mieszko w zmowy Henryka księcia bawarskie-

(1) Wiersz ten, napisany jeszcze w listopadzie 1861 roku, dotąd nigdzie nie był drukowany. Miał on wejść do drugiej seryi „*Poematów i strof ulotnych*" o których zebraniu i przygotowaniu od druku, zarówno z prac rozrzuconych po pismach czasowych, jak i z rzeczy zupełnie nowych, nigdzie nie pomieszczonych, zmarły przedwcześnie poeta, w ostatnich czasach zamyślał. (*Przypisek Redakcyi*)

1) Dytmar błędnie oba czyny przypisał Geronowi.

go do spółki i innemi podjęte, w celu owładnięcia koroną niemiecką; 990 r. cieszył się pomocą przysłaną sobie przez opiekunki Ottona III, gdy popadł w spór o ziemie graniczne z swym czeskim teściem. Nareszcie wypadek, w którym zdaje się poraz pierwszy i ostatni wystąpił Cydebur w dziejach polskich, świadczy równie dobitnie jak poprzednie, przeciw teoryi, aby ów ustęp o Udonie i Mieszku wyrażał nadzwyczajną uniżoność ostatniego, choćby tylko w duchu neofityzmu. „Udo (czyli Uodo, Otto), czcigodny marchijo, to jest rządca pograniczny, (opowiada Dytmar), napadł z zebranem wojskiem Mieszka, który był wierny cesarzowi...." Szczegół ten jaskrawem światłem obrzuca postępek Udona. Gdy bowiem nie ma podanej jasno innej przyczyny zajścia, a owszem wierności Mieszka dla Ottona II jest wzmiankowaną, oczywiście powodem giermańskiego najazdu na Kujawy był prywatny niejako *Drang nach Osten*, już poprzednio w działalności Wigmana widoczny.

„Zjawił się z pomocą Udonowi ojciec mój, (pisze Dytmar), comes Sygfryd, wonczas młodzieniec, jeszcze małżeńską miłością w stadło niezłączony, ale tylko z własną drużyną." Wyrażenie to nieobojętne, tak dla powyższych naszych uwag o charakterze całego tego zajścia, jak i dla oceny stanowiska biorących w niem udział. „W dzień św. Jana Chrzciciela, przyszło z Mieszkiem do walki, w której zrazu tryumf odnieśli. Wszelako gdy Cydebur przybył, prócz dwu dowódzców niemieckich, najlepsi ich wojownicy padli trupem w miejscu zwanem Cidini." (Zehden nad Odrą). Żywociarz ś-go Wojciecha, opisując ten sam wypadek na początku XI wieku, powiada, że Mieszko-Lambert zwyciężył swych przeciwników „sztuką." Bardzo być może, że jak Wichmana, tak i Udona z Sygfrydem schwytano w zasadzki. Gdy Mieszko nacierał na nich z przodu, a mimo to przemożony lub z umysłu ustępował, Cydebur zjawił się na tyłach napastników, i tak zażywszy ich sztuką, sprawił, że „wielkość Teutonów", jak wyraża się ów żywociarz, gryzła ziemię. Zawadyacki margrabia Udo pierzchnął z podartemi chorągwiami.

Cesarz Otto II-gi, dowiedziawszy się o takiej hańbie swoich, zawiadamia obie strony, z Włoch, kędy pod ten czas bawił, aby, pod groźbą utraty łaski jego, pozostały w spokojności, aż do chwili, gdy sam powód sporu roztrząsać będzie w stanie. Na wielkanoc 973 r. stawił się Mieszko-Lambert na rozkaz cesarski w Kwedlimburgu, i teść jego czeski, i różni dostojnicy niemieccy prócz posłów rozmaitych. Spór między Udonem a Mieszkiem został uspokojony, ale w sposób, który tylko zająłtrzył gniew napastowanego.

Pozostał albowiem siedmioletni syn Dąbrówki i Mieszka na zakładnika w ręku niemieckiem. Gdy w r. 975 spotykamy króla Lachów kujawskich w liczbie przeciwników Ottona II, widocznie możemy położyć to na karb odwetu na owe użycie syna na rękojmią spokoju, nie przez ojca zamąconego. W takich okolicznościach czczą mrzonką okazują się być owe czci oznaki, które miał Mieszko-Lambert i jego bracia jako współrządzcy składać Udonowi. Są one czczą mrzonką, gdy je po szczególe rozpatrzemy. Powiada Dytmar, że Mieszko-Lambert nieśmiał przy Udonie krzezna (crusina) nosić. Zobaczmy, co to jest owo krzezno? Do naszych czasów, wieśniak krakowski nosi tak zwaną „karazyą," to jest sukmanę granatową, jedwabiem ponsowym wyszywaną, u której zwiesza się szeroki kołnierz na plecy. U kujawian, w użyciu jest tak zwana „kiereja," to jest opończa buchasta, z kapturem zupełnie wyraźnym. Podobieństwo nazw tych kruzino (krzezno), karazyja, kiereja, (oraz późniejszych ferezyi), dozwala wszystkie uważać za formy jednej, służącej na oznaczenie owego płaszcza, o którym mówi Gallus, że nim pokrywano futra, „chociażby kożuch ten świeżo był zdarty ze zwierza," i był najdrogocenniejszy. Rycerze i kobiety dworskie, na dworze Bolesława I, a zapewne i na dworze jego ojca Mieszka-Lamberta I, niechodziły inaczej jak w futrach pokrytych taką kierają i nieużywały ani lnianych, ani wełnianych strojów. Dotąd na kożuch, zwykli wieśniacy obu płci kłaść swe sukmany, co zupełnie odpowiada powyższemu opisowi Gallusa. Kaptur ów u krakowiaków już tylko postać dużego kołnierza mający, a u kujawiaków jeszcze zachowany—zjawił się z czasem, czasu bezkrólewi, na głowach sędziów tak zwanych: „kapturowych." Krom wątpienia był w użyciu i u rycerstwa Mieszkowego, i wraz ze strojem, którego część stanowił, służył do zwykłej osłony ciała od zmian powietrza. Przebywającemu pod dachem, kierezya, czy krzezno, zapewne było zbytecznem i dlatego zdejmował je i Mieszko, wchodząc do domu Udona, swego przeciwnika. Nadto należy uważać, że złożenie krzezna w obec Udona, objawiające niby niższość Mieszka, spotyka się z zaprzeczeniem szczegołu który dowodzić mógłby jego wyższości względem Udona. Gallus opowiada nam o synu Mieszka-Lamberta, że: „biskupów swoich i duchownych, w takiej czci miewał, że gdy oni stali, sam usiąść się nieośmielił, i nie inaczej ich jak księdzami (czyli książętami) mianował."

I w ogóle oznaką było zwierzchnictwa, wyższości hierarchicznej, jeżeli ktoś wygodnie, spoczywał w obec stojących. Udo i Mieszko, równemi byli sobie w godności, a więc żadną miarą niemógł wedle Dytmara, zajmować krzesła Mieszko-Lambert, gdy na nogach Udo zostawał. Skoroby to miało miejsce niepotrzebowałby i krzezna zdejmować. Gdy tak się rzecz ma, musiemy uważać wyrażenie Dytmara za obrazowe opisanie prostego faktu, że takim dobrym niemieckim margrabią był „król lachów kujawskich," jak Udo, względem wspólnego zwierzchnika Ottona II.

Okoliczność, że przed sąd swój, cesarz ten wezwał nie obu braci polskich, ale tylko tego, który w dziejach zjawia się pod tytułem króla, rzuca pewne światło na stosunek Cydebura i bezimiennego jego brata do Mieszka-Lamberta. Pomimo, że synowie Semomysła potroili swemi godnościami znaczenie jego domu, między sobą jednak zupełnie równymi nie byli. Przez Mateusza Cholewę drugiego z rzędu u nas kronikarza, wymyślone panowanie Popiela I i II daje obraz tych stosunków hierarchicznych w łonie rodziny panującej. Dwudziestu braci zawiadywało prowincyami, od swej rozległości biorącemi nazwy księztw (dukatów) komesostw czyli marchii, oraz królestw.

Takich komesów i duków spotykamy później i za Bolesława Magnusa, i jego następców. Nie pochodzą już oni jednak z krwi panującej, jak owi mniemani bracia Popiela I, nad którymi tytułem pierworodztwa on sam sprawować miał zwierzchnie rządy. Podobny stosunek istniał nakoniec, między Popielem II synem pierwszego i jego dwudziestu stryjami. Wśród króli, był on królem króli. Ten sam system przedstawiają nam i dzieje innych Słowian. Tak naprzykład roku 789 Karol Wielki przez Saksonią dostał się do Słowian, zwanych Wiltami (Lutykami). Nad rz. Peną spotkali go: „królowie ziemi tej ze swym królem Tragwitem," i jego synem. Między innymi był Witsan i Drago królowie ziem wenedzkich to jest słowiańskich w orszaku „króla królów" Tragwita. Witsan był księciem Obotrytów, i w chwili powstania Saksonów, spieszył na pomoc Karolowi W., od nich jednak został zabity pod miastem Blinni 795 r. Drago czy Drażko drugi podrzędny król, 798 r. wojował Saksonów u miasta Swentyny nad Elbą, wspomagał Franków pod Bardewikiem, i nareszcie 799 został mianowany zwierzchnikiem nad dwoma rywalizującymi z sobą książęty Godelubem i Sławomirem, zapewne jako nowy „król króli". 807 ro-

U OGNISKA.

(Xy) Wierny tradycyom największych pod słońcem nudziarzy to jest felietonistów, chwytam dziś za pióro celem zrobienia króciutkiego rachunku na gruzach roku 1874... A jako bankier rozłożywszy pokratowaną księgę śledzi przy końcu roku *habet* i *debet*, jako eskulap bada martwy okaz i grzebie w nim skalpelem, jako dobry siewak rachuje po jesieni ile z garncy urosło korcy... tak i ja zasiadłem do operacyi i poczynam zapisywać objawy w mem kronikarskiem zwierciadle widziane.

Poczciwemu staruszkowi przyznać się godzi, iż odrodził się nieco od swych antenatów. Ten roczek 1874 był rzec to można otwarcie— rokiem czynów. Wyrobiła się już jaka taka opinia publiczna, potrzeby społeczeństwa cale są odczuwane a środków pomocnych nie brak. Ogół interesuje się żywo wszelką kwestyą utylitarną — sprawa dobra, z jasnym celem i przyszłością znaleść dziś może uczciwych patronów!

Najdonioślejszym faktem społecznym ubiegłego roku jest jak wiadomo — wystawa przemysłowo rolnicza. Prasa, której należy także dank za gorące popieranie tego przedsięwzięcia niejednokrotnie oceniła doniosłość wystawy dla spraw ekonomiczno przemysłowych. Próżnoby się tu zatem rozwodzić. Wszakżeż na pewno twierdzić możemy iż wystawa rozbudziła ziemian naszych, ożywiła ich i wzmocniła doświadczeniem, nakłoniła ich do postępowego gospodarstwa, wskazała im sposób lepszej uprawy skiby, pchnęła do racyonalniejszej hodowli inwentarza, słowem, powiedziała obywatelowi: patrz! jakim gospodarzem być trzeba, jak miłować należy ziemię rodzinną, jak pilnem pielęgnowaniem jej można dorzucić sporą cegłę do dobrobytu krajowego.

I przemysłowcy nie wyszli bez korzyści z tej krótkotrwałej publicznej nauki. Przemysł zabłysnął pięknem światłem, które spowoduje wkrótce skruszenie lodów niechęci naszych kapitalistów dla przemysłowych przedsiębierstw. Schodząc do szczegółów zanotować godzi się, iż wystawców było 790, których nagrodzono 17 medalami złotemi, 34 srebrnemi większemi, 62 srebrnemi mniejszemi, 81 bronzowemi, 137 listami pochwalnemi, 69 wynagrodzeniami pieniężnemi. Tak z kraju jak i z zagranicy zwiedziło wystawę 120,000 osób. Doniosłą również dań przyniósł nam rok ubiegły w sankcyi kolei nadwiślańskiej. Linia ta połączy kraj nasz z płodnemi okolicami cesarstwa i będzie nowem źródłem korzyści.

Na polu finansowem uniknęliśmy szczęśliwie przesileń, na jakie ościenne państwa były narażone i pod obuchem których dotychczas jęczą. Prócz mniejszych upadłości, kredyt nasz silny i niepodkopany.

A oświata? I tu kierunek realny górą! Powstały dwa nowe zakłady realne jedna zaś dawniej istniejąca szkoła wróciła do pierwotnego więcej technicznego programu.

Czternaście tak zwanych „dziesięciogroszowych" odczytów działało również w tym kierunku, traktując głównie nauki przyrodnicze,

ku zginął Godelub na szubienicy, powieszony przez Godfryda króla Duńskiego, a Drażko musiał uciekać do cesarzewicza Karola, który poparł wygnańca 808 i 809 r. Atoli wśród bojów toczonych o swe ziemie z nieprzyjaciołmi, zginął Drażko 809 r. Rządy po nim objęli synowie jego Sławomir i Czedrag, z których pierwszy, że niechciał walczyć z Duńczykami został przez swój naród od rządów usunięty.

Jeszcze oczywistszy ślad mięszania się narodu w kwestyą następstwa przedstawia sprawa synów Liczby księcia lutyckiego r. 823. Starszy Milegast zwykłym trybem rzeczy, jako pierworodny, objął rządy zwierzchnie. Gdy jednak okazał się niedbałym w ich sprawowaniu, naród przelał zwierzchnictwo na brata młodszego Czedraga. Tu mamy wypowiedzianą jasno zasadę, że pierworodztwo obok zalet orzeka, kto ma rej wieść między współdziedzicami. Na tych pewno zasadach i ów Tragwit, był za króla króli u Lutyków uznawany. Nie był to jednak zwyczaj wyłącznie obotrycki.

I Świętopełk wielko-morawski umierając 894 r. podzielił swe posiadłości między trzech synów, naznaczając pierworodnego wielkim księciem, dwu pozostałych zaś pod jego zwierzchność oddał. Jak widzimy z Gallusa, i nad Wartą, pomijając mytyczne dzieje Popieli, poszły ziemie w podział między trzech synów Semomysła; przykłady przez nas cytowane dozwalają sądzić, że i tu prawem starszeństwa ster władzy spoczął w ręce Mieszka-Lamberta.

Pierszeństwo, jak widzimy w wezwaniu cesarskiem samego tylko Mieszka przed swój trybunał wyrażało się przedewszystkiem większą, bo za wszech spółrządzców przyjmowaną odpowiedzialnością. Wyraziła się ona oddaniem pierworodnego w zastaw chwiejnej wielce wierności. Pomoc, jaką to brat nieznany z imienia, to Cydebur udzielają Mieszkowi dozwala wnosić, że w sprawach wojennych trzy dzielnice łączyły się we wspólnem działaniu, na którego czele stawał najstarszy „książę,“ to jest ów „zwierzchni król.“ Istotnie bowiem w Polsce tytuł króla niewięcej zdaje się oznaczał, jak tylko „kierownika“ wojsk, i zarządu w ogóle na zewnątrz. Wewnątrz zaś, pomimo, że państwo lechicko-kujawskie było posiadane i dzielone między wszech członków rodziny, jakby inna nieruchomość, mimo więc domyślnej wielkiej swobody zwierzchniego władcy w zawiadywaniu państwem, krępowali go jednak spółrządzcy, a może i pewna rada, w postanowieniach niektórych. Według bowiem wyrażeń kroniki Mateusza Cholewy, już pierwszy (mytyczny) naczelnik władzy w Polsce nie za króla ale za „spółkróla“ (socium regni) się podawał, uważał się więc nie za jedynego piastuna władzy nad krajem.

Od chwili, gdy Dąbrówka 977 r. umarła, i w domu starzejącego się Mieszka-Lamberta rej wodzić zaczęła nowa, a pewno młodziuchna żona, przyszli nawet do współrządów i ludzie nie pochodzący z krwi „żywiącej“ Pasta, i „słonecznej“ Choszyszka jego ojca. Obok potomków boga pogańskiego rządzą teraz Lachami kujawskiemi i zwykli śmiertelnicy[1]).

Przedewszystkiem zobaczmy jednak, jakim to sposobem i skąd w progach leciwego już Semomysłowicza, zjawiła się Oda, córka margrabi Teodoryka. Takie bowiem było miano i pochodzenie jego dziewiątej (licząc z kolei) małżonki. *(c. d. n.)*

Z NAUK PRZYRODZONYCH.

Wpływy związków chemicznych na życie.

(Dokończenie).

Gdy przed dwudziestu laty, rozpoczął on pierwsze tego rodzaju prace, musiał na każdym kroku walczyć z empiryzmem, utrzymującym że wpływy leków na życie nie mogą być dokładnie określone. Bernard przecież nie ustawał w poszukiwaniach nad kurarą, tlenkiem węgla, eterem, nikotyną, alkaloidami, opium i. t. p.

„Doświadczenia poczynione nad zwierzętami, powiada Bernard, pozwalają jedynie na analizę fizyologiczną, która wyświetla i wyjaśnia skutki leków dostrzegane w człowieku. W rzeczy samej, to wszystko co napotykamy w człowieku odnajdujemy u zwierząt i *vice versa*, z małem tylko rożniczkowaniem—w zasadzie akcye fizyologiczne są też same. I nie może być inaczej, w przeciwnym bowiem razie, nie mogłaby nigdy powstać ani fizyologia ani medycyna.“

Badając wpływy rozmaitych zasad czynnych zawartych w opium, na różne funkcye zwierzęce, Bernard okazał, że przedstawiają one własności nietylko odmienne, ale nadto sobie przeciwne. Spostrzeżenie to oparł na przeszło dwustu doświadczeniach, odbytych z morfiną, narceiną, kodeiną, narkotyną, papaweryną i tebainą. Z sześciu tych zasad, trzy tylko to jest: morfina, narceina i kodeina, sen wywołują. Trzy pozostałe nie działają w sposób usypiający, lecz posiadają własności pobudzające lub trujące, dążące raczej do niszczenia skutku narkotycznego poprzednich. Czynnikiem usypiającym pierwszego rzędu, według Bernarda, jest narceina, po niej wymienia on morfinę, a w ostatku kodeinę. Działaczem, najwięcej pobudzającym jest tebaina, po niej dopiero następuje narkotyna i kodeina. Za czynnik najsilniejszy w zatruciach, poczytuje Bernard tebainę — po niej w coraz słabnącej własności zatruwania, stawia kodeinę, papawerynę, narceinę, morfinę, i narkotynę. Widzimy stąd, że nie poprzestał on na scharakteryzowaniu rozmaitych działań właściwych alkaloidom opium, lecz oznaczył stopień ich siły.

Najnowszemi przecież w tej mierze są, badania p. Rabuteau—obserwował on działanie tychże alkaloidów na wrażliwość nerwową i na trzewia człowieka, w szpitalach la Charité i la Pitié. Rabuteau dostrzegł fakt wielce znaczący i ciekawy, a mianowicie: że powyższe zasady opium nie jednakowo działają na człowieka i zwierzęta. I tak morfina jako czynnik trujący, nie wiele działa na zwierzęta ale natomiast wywiera silny wpływ na organizm ludzki. Narceina dzielniej usypia zwierzę niż morfina, ta znowu silniej działa od tamtej zastosowana do człowieka. Gdy chodzi jednak o znieczulenie nas lub uśpienie, narceina odpowiedniejszą bywa od morfiny. Dwadzieścia pięć centygramów narceiny, wywołuje sen spokojny i posilny — za przebudzeniem się człowiek nie doznaje żadnego niesmaku, ani znużenia jakie sprowadza morfina. Niemniej dzielnie znosi narceina uczucie bólu i przyprowadza chorego do stanu zadawalającego. Wszystko to okazuje użyteczność chemii w medycynie.

Dołączając chloroform do wpływów wywieranych przez morfinę lub narceinę, widzimy wielce ciekawe zjawiska. Bernard zaobserwował, że znieczulenie wywołane chloroformem, przedłuża się u zwierząt którym dano do użycia opium. Nusbaum wtryskiwał choremu uśpionemu chloroformem, octan morfiny—operowany spał najspokojniej przez dwanaście godzin, nie okazując żadnego uczucia bólu. Goujou i Labbé sprawdzili ten fakt w praktyce, i przekonali się że chloroform łącząc się z solą morfiny, znieczula zupełnie.

[1]) Od bogów Pastowie ród wiedli, bo Past, praojciec Mieszka, oznacza żywiciela. (Słońce u Indyjan ma ten sam tytuł) Choszyszko jest zdrobniały: chason (słońce).

---

dwanaście innych obejmowało przeważnie filozofię i nauki społeczne.

Ze smutkiem jednak zapisać przychodzi zamieranie ruchu wydawniczo-księgarskiego. Zdaje się, iż ruch ten po wysileniu lat zeszłych coraz bardziej szwankuje. Kilka wprawdzie szerszych publikacyi ujrzało światło dzienne, mniej jednak wypuściły tłocznie dzieł treści popularnej lub kartek beletrystycznych. Wszystko prawie kończyło się na — przedrukach, bardzo użytecznych czasami lecz szkodzących niejednokrotnie umysłowemu organizmowi społeczeństwa. Starzy szermierze jawią się nieustannie za włosy prawie przyciągani, młodzi bojownicy drzemią zatuleni w swych płaszczach. Powieść naszą wzbogacili głównie Kraszewski „Brühlem,“ dziełem znakomitem i Lubowski tomem obrazów z życia galicyjskiego, zatytułowanym: „Na pochyłości.“

Na niwie poezyi spotykamy się z gorącą „Sulamitą“ Aspisa, dalej z barwnemi utworami Wacława Szymanowskiego. Humorystyka zyskała dzielnego, pełnego sił pracownika. Jest nim Bolesław Prus, właściciel humoru i wysoce rozwiniętego obserwacyjnego zmysłu.

Dramat wzmocnił p. Rapacki „Witem Stwoszem“ — w komedji spotykamy „Z postępem“ p. Zalewskiego.

Teatr dał nam: „Don Karlosa“ Szylera: „Świętoszka“ Moliera, Szekspirowskiego, „Otella“ i „Poskromienie złośnicy,“ „Pozytywnych“ Narzymskiego, i Bałuckiego: „Emancypowane.“ Prócz tych mnóstwo cacek jak: „Akrobata“ Feuilleta, „Przechodzień“ Coopego i inne. Mniej może zdziałała opera—sił jej bowiem nie odświeżono. Walczą w niej tylko o pierszeństwo pp. Filleborn i Cieślewski, co rzeczywiście zbawczo działa na sztukę.

Największą w operze uroczystością był niezapomnianego mistrza: „Straszny dwór.“

Konserwatoryum muzyczne krzątało się gorliwie—a wytworzenie orkiestry policzyć mu należy za zasługę.

Malarstwo warszawskie, ciche.... Gerson tylko a w ostatnich dniach Chełmoński działa na chlubę. Przyjazd Godebskiego, może skutecznie wpłynąć na zdrowie talentu, adeptów sztuki rzeźbiarskiej.

Z pola filantropii nie omijajmy założenia osad rolnych dla małoletnich przestępców, i podniesienia sprawy staszycowej.

Oto zyski! A straty?

Oglądnijmy się wokół? Popatrzmyż ile sił ubyło, ilu zapaśników, ile gwiazd zgasło na horyzoncie naszym.... Gdzie Bakałowiczowa, Chęciński, Gliszczyński, Neufeld, Pusłowski, Somer, Strasburger, Unger, Zygmunt Wojcicki, Zientarski.....

Miejmyż choć pamięć wielką dla tych, co żyć dla sławy kraju umieli!

Rachunek się kończy....

Więc niech się czeladź nadzieją krzepi:
Że będzie lepiej! że będzie lepiej!

Rabuteau zadał psu 5 centygramów narceiny, a następnie uśpił go chloroformem. Po przebudzeniu się, pies przechadzał się po pokoju spokojnie, rozpoznawał głos swego pana, lecz pozostał nieczułym na wszelkie wrażenia odbierane przez nerwy. Można go było szczypać, kłuć, deptać po nogach, zwierzę nie objawiało żadnego cierpienia. Ten stan osobliwszej niewrażliwości psa zupełnie obudzonego, trwał przez kilka godzin—nazajutrz odzyskało zwierzę całkiem normalną czułość nerwów. Chloral wykryty został przez Liebiga i Dumasa w 1832 roku. Jestto związek powstający przy bezpośredniem działaniu chloru na aldehyd. Przez czterdzieści blizko lat, niezuano wcale własności fizyologicznych chloralu, dopiero w 1868 roku wykrył je chemik niemiecki Liebreich. Chloral rozkłada się w ekonomii w zetknięciu z alkaliami krwi, w skutek czego rodzi się chloroform, ale tak powolnie, że i sen trwać może przez kilka godzin. Sen ten bywa mniej głęboki, lecz spokojniejszy niż przy użyciu chloroformu. Powodzenie chloralu było szybkiem—dziś fabryki w Berlinie sprzedają go dziennie 250 funtów. Lek ten uspakaja cudownie cierpienia reumatyczne, i używanym bywa w wielu chorobach.

Mak zawiera w sobie kilka alkaloidów, różniących się od siebie w działaniu—cykuta zaś i belladona posiadają tylko jeden. Cykutyna stanowiąca wyciąg z cykuty i atropina otrzymywana z belladony, stały się w niedawnych czasach przedmiotem zajmujących poszukiwań. Marcin Damourette i Pelvet, badali cykutę i sprawdzili, że szczegóły o śmierci Sokratesa podane przez Platona, były prawdziwemi.

„Gdy przyniesiono truciznę, mówi Plato, Sokrates zapytał co ma czynić. Nic innego odrzekł mu dozorca więzienia, jak tylko po wypiciu, masz przechadzać się, dopóki nie uczujesz ociężałości w nogach. Sokrates wypił truciznę i przechadzał się, a gdy uczuł że nogi mu zginają się, położył się na wznak.

W tejże chwili człowiek który mu przyniósł truciznę, dotknął go, i przez pewien czas patrzył się na jego nogi i stopy, poczem silnie nacisnął mu nogę, i zapytał czy to uczuwa. Sokrates odpowiedział, że nic nie czuje. Potem nacisnął znowu jego nogi, i okazał nam że ciało oziębiało się i wyprężało. Od tej chwili dotykał się ciągle ciała Sokratesa, i w końcu rzekł. „Gdy to dojdzie do serca, będzie po wszystkiem. Już też prawie cała okolica podbrzusza zastygła. Sokrates wyrzekł jeszcze kilka słów, potem doznał gwałtownego wstrząśnienia i umarł."

Atropina okazała się przedziwnem lekarstwem na oczy, dzięki osobliwszej własności ją cechującej, to jest rozszerzania źrenicy za wspuszczeniem kropelki tej materyi do oka. Niezmiernie maleńka cząstka atropiny wywołuje ten skutek, pierwszy raz zaobserwowany przez Harleya. Zresztą zasada ta, działa na cały system nerwowy, a tem samem wyjaśnia nam dziwne zjawiska obłąkania, pochodzące z zatrucia się belladoną.

Istnieje też materya, wywierająca na przyrząd wzrokowy wpływ całkiem przeciwny atropinie. Jest nią bób kalabarski, którego własności wykryte zostały w 1863 roku przez Frasera. Wydzielony z tej rośliny alkaloid przez chemika francuzkiego Vée w 1865 roku, wpływa tak energicznie na kurczenie się i zwężenie źrenicy, że ta prawie znika zupełnie. W godzinę po jego użyciu, zwężenie zaczyna się objawiać i trwa prawie przez trzy godzin, poczem źrenica zwolna odzyskuje swój stan pierwotny. To działanie alkoloidu na mięśnie posługujące do ruchu tęczówki, pochodzi z podrażnienia nerwu, który znowu atropina paraliżuje wywołując rozszerzanie się źrenicy.

Widzimy z faktów wyżej podanych, że wszelki alkaloid niezależnie od działania na ekonomią, wywiera wpływ szczególny na pewien system lub organ. I tak naparstnica, staje się dla serca lekarstwem lub trucizną, chociaż Cullen używał jej tylko jako środka moczopędowego. W ostatnich dopiero czasach, Traube profesor z Berlina i Hirtz profesor uniwersytetu w Strasburgu, uwidocznili na podstawie licznych doświadczeń, ważny wpływ jaki wywiera naparstnica, na obieg krwi i ciepło ekonomii zwierzęcej. Dzięki działaniu jej osłabiającemu bicie serca, a tem samem powściągającemu przyśpieszony ruch krwi, czynnik ten jest wielce zbawczy we wszelkich gorączkach, gdzie potrzeba przytłumić ogień wewnętrzny. Naparstnica zawdzięcza swe własności materyi, która nie mogła być odosobnioną przez czas bardzo długi. Przed kilku dopiero miesiącami, Nativelle biegły chemik, zdołał wydzielić z niej zasadę w postaci igiełek krystalicznych, białych, smaku niezmiernie gorzkiego, będącą rzeczywistą dygitaliną. Akademia paryska, przyznała mu nagrodę za to piękne odkrycie. Cwierć miligrama dygitaliny już wpływa na osłabienie bicia serca, pięć zaś miligramów zażytych spowodowałoby śmierć nieochybnie. Podobnie działa na nasz organizm weratryna, a mianowicie wpływa na bicie serca, i katary płucne.

Niemniej znaczącem jest działanie eukaliptu kulistego (Eucalyptus globulus). Roślina ta rozrastająca się w drzewo olbrzymie w Australii, sprowadzona niedawno przez Ramla, zaaklimatyzowała się przedziwnie na południu Europy. Eukalipt zawiera w sobie olejek lotny, komunikujący liściom i korze własności lecznicze, zużytkowane przed innemi przez lekarza francuskiego Gimberta. Olejek eukaliptusowy osłabia zbyteczną drażliwość mlecza pacierzowego, i uspakaja kaszel tak przykry w chorobach płucnych. Prosper Mérimée w ostatnich latach swego życia przebywając w Cannes wyleczył się paleniem cygaret eukaliptusowych. Oprócz olejku, to drzewo australskie zawiera w sobie zasadę gorzką, wielce skuteczną w uporczywych zimnicach. W Ameryce południowej, w Hiszpanii, Algeryi, Korsyce, leku tego dziś już używają zamiast chininy, nad którą ma wyższość niezaprzeczoną. Gdzie eukaliptus się rozrada, kwitnie tam zdrowie, wyziewa on bowiem woń balsamiczną, oczyszczającą i ożywiającą atmosferę. Sadzenie takich drzew w miejscowościach bagnistych, osuszałoby grunt i przeszkadzało rozwojom roślin wodnych, będących siedliskiem miazmatów.

U nas przecież o tem marzyć nie można, piękny eukalipt naszego ogrodu botanicznego, zważyły mrozy — roślina ta potrzebuje nieba południowego. Do nowszych leków mineralnych należy bromek patasu, wielce użyteczny w chorobach nerwowych, a zwłaszcza w epilepsyi. Ciało to w tych razach wpływa dzielnie, na uspokojenie drażliwości systemu nerwowego. Obok bromku potasu, wymienić winniśmy kwas arszenny dobroczynnie wpływający na żeby, i posiadający osobliwszą własność przywracania uszkodzonej emalii.

Czy istnieje jaki węzeł między naturą chemiczną ciał, a stopniem ich siły trującej lub leczniczej? Badania lat ostatnich, pozwalają na to pytanie odpowiedzieć potwierdzająco.

Oddawna znanem było, że sole metalów ciężkich są czynniejszemi działaczami od soli metalów lekkich—że sole ołowiu i rtęci naprzykład, są trujące, sole zaś sody i magnezyi niewinne. Nikt przecież nie zadawał sobie pracy, zbadania bliżej tych zależności. Rabuteau dopiero wykazał stosunek, istniejący między energią fizyologiczną związków mineralnych, a ich naturą chemiczną. Według niego, energia soli metalicznych rozpuszczalnych, pozostaje w stosunku prostym, do ciężaru atomowego metalu w soli zawartego. Ponieważ zaś ciężary atomowe metalów, są w stosunku odwrotnym do ciepła im właściwego, metale zatem, są tem czynniejszemi, im słabszym jest stopień tegoż ciepła. Paryska akademia nauk, przyznała P. Rabuteau wysoką nagrodę za te jego poszukiwania. Odtąd, fizyolog lub lekarz, radzić się będą a przynajmniej powinni, tablicy ciężarów atomowych. Gdy przed kilku laty probowano na zwierzętach wpływu soli talium, metalu wykrytego przez analizę widmową, zdziwiono się wielce, że te sole tak zresztą podobne sodowym i potażowym, okazały się przecież silnemi truciznami. Wyjaśnienie tego faktu jednak jest bardzo proste, przyjmując prawo p. Rabuteau. Ciężar atomowy talium jest bardzo wielki, a tem samem jego siła trująca, musi być niemniej energiczną.

Zadania chemii rozszerzają się coraz więcej; winna ona być doradczynią i pomocnicą medycyny, dostarczać jej czynników sztucznie wytwarzanych, w miejsce dotąd otrzymywanych z roślin. Pozyskiwanie alkaloidów roślinnych jest dziś tak mozolnym procesem, że chemia powinnaby go ułatwić, lub nowym zastąpić. Jeżeli dziś w laboratoryach wyrabiają się kwasy, olejki i tłuszcze roślinne, wonie aromatyczne, dlaczegożby nie potrafiono fabrykować zasad przywracających zdrowie, jako to chininy, ipekakuany itp. Perkin w 1856 roku chcąc sztucznie otrzymać toluidynę, zamiast niej pozyskał związek czerwony, który stał się źródłem kolorów anilinowych. Ten zawód nie powinien przecież zniechęcać chemików—znając bowiem składy ciał, będą mogli niewątpliwie je wyrabiać w swych pracowniach, jeżeli posuną dalej badania naukowe, które już tyle razy posłużyły do najrozmaitszych i wielce ważnych zastosowań.

Wincenty Niewiadomski.

WIECZORY ZIMOWE
NA WSI.

(**K. J.**) Wieczór w stosunku do dnia, jest prawie tem samem co niedziela w stosunku do tygodnia.

Praca dzienna zawiesza się i przerywa, rodzina gromadzi się przy wspólnym stole wieczerzy, wszelki ruch i krzątanina ustaje. W miastach, godziny wieczorne, przeznaczone są dla rozrywek. Z pierwszym prawie blaskiem zapalonego gazu, otwierają się drzwi teatrów, sal koncertowych i klubów.

Ci którym środki materyalne nie stoją na przeszkodzie dążą chętnie — aby przepędzić kilka godzin na rozrywce, i czas im przechodzi przyjemnie.

Ale na wsi—zupełnie co innego. Gdy zima zawita i okryje białym całunem ogrody i pola; gdy z zachodzącem słońcem ustaje wszelki ruch folwarczny i praca, wtenczas każdy mieszkaniec dworku idzie do domu.

O teatrze nie ma co myśleć—w sąsiedztwo nie zawsze można wyjechać, w domu nie ma co robić.

Na dworze hula wicher, wstrząsając staremi lipami—niesie zamieć śniegową, zasypując okna, a w kominie zawodzi jakieś jęki płaczliwe, przeciągłe i smutne.

Godzina czwarta. Nie podobna pójść wcześniej spać, jak o dziesiątej—pozostaje sześć godzin długich i nudnych, które przecież trzeba czemkolwiek zapełnić.

Wieś, która w przeciągu letnich miesięcy daje sposobność do całodziennej pracy, z nadejściem pory zimowej zasypia niejako wraz z otaczającą ją przyrodą.—Dzień krótki, pola i ogrody odpoczywają, a cały ruch gospodarczy koncentruje się w zabudowaniach folwarcznych, i w porównaniu z ruchem i pracą letnią jest nieskończenie mniejszy.

Mieszkańców wiejskich ustroni, budzi latem wstające słońce—usypia zaś dopiero noc późna. Spoczynku zaledwie kilka godzin. Długi dzień przechodzi szybko i niepostrzeżenie, mężczyźni i kobiety mają zatrudnienie przy gospodarstwie.

Z zimą zwykła kolej pracy ulega znacznej zmianie, cztery kąty domostwa zastępują obszerne łany, a po dniu krótkim nastaje wieczór nieskończenie długi.

Cóż się tedy robi podczas owych wieczorów w cichym dworku wiejskim w ustronnej zaciszy, gdzie nie dolatują nawet echa gwarnego i ruchliwego miasta, a stacya pocztowa przynosi tylko od czasu do czasu, listy lub rachunki od kupców?

Cóż się tedy robi w owych domach, gdzie całą bibliotekę stanowi książka do nabożeństwa i kalendarz; a wiadomości bieżące tak krajowe jak i zagraniczne, dostarcza arendarz lub pachciarz.

Powiecie może, że podobne domy nie istnieją u nas... Jeżeli nie wierzycie, przejrzyjcie starannie prowincyą, zajrzyjcie do właścicieli średnich i mniejszych posiadłości ziemskich, a twierdzenie wasze samo przez się upadnie.

Pewna ospałość i ignorowanie wszystkiego, co nie ma widocznego związku z pierwszemi potrzebami życia, weszło w zwyczaj, i rzekłbyś jak sukcesya, jak jaka drogocenna pamiątka z ojca na dzieci przechodzi.

Ruchu umysłowego, chęci do czytania brak. Książka, broszura lub pismo perjodyczne to rzadkość, pojawiająca się tylko jak meteor, na mglistym horyzoncie ich życia.

I chciejcie wierzyć że w tych słowach nie ma wcale przesady. Zapytajcie księgarzy kto kupuje książki, a wszyscy jednozgodnie odpowiedzą, iż mieszkańcy miast zakupują trzy czwarte, zaledwie czwarta część idzie na wieś i to przeważnie do domów ludzi bogatych, mających sobie niejako za obowiązek zapełnić niemi mahoniowe szafy, i rozrzucić na stołach i konsolach eleganckich salonów.

Przejrzyjcie rachunki wszystkich wydawców licznych publikacyi peryodycznych, a zobaczycie, iż u każdego z nich, po odtrąceniu ilości prenumeratorów miejskich, i abonentów mieszkających poza granicami dziesięciu guberni królestwa, zostanie tak mała garstka, odbierających pisma na prowincyi, że zadziwi smutnie każdego życzącego dobrze sprawie ogólnej oświaty.

Smutne to fakty, ale prawdziwe niestety. I wszędzie to samo się dzieje, czy to w Płockiem, czy w Lubelskiem, koło gór Święto-Krzyskich, czy na piasczystych równinach Podlasia.

Dziwnie szczupłym jest pokarm umysłowy rodzin wiejskich. — Ojciec rozmawia tylko z karbowym—klnąc siarczyście, na „*chłopów*,” którzy mu łąki wypasają, i każą sobie dobrze za robotę zapłacić. Rachunkowość gospodarska prowadzi się sposobem wcale nieskomplikowanym. Cała buchhalterya wyrażaną bywa przez nacięcia porobione kozikiem na kiju leszczynowym.

Aktywa i pasywa, zapisują się kredą na szafie czerwonej.

A nie należy to wcale do osobliwości, gdy w naglącej potrzebie posyła się do ekonoma po kałamarz z atramentem, którego „we dworze” brakuje.

Kto nie widział naszych zaścianków, powie, iż wyżej skreślone słowa zakrawają na humoreskę—ale kto miał sposobność przypatrzeć się mieszkańcom ustroni, — westchnie tylko nad smutną prawdą słów naszych.

Matka, kobieta zacna, kochająca męża i dzieci, miłością pojętą fałszywie, ale zawsze jednak miłością szczerą i gorącą; rozmawia tylko o „okropnościach służby,” o drożyznie (dajmy na to) cukru, wreszcie o lnie i warzywach.

Dorodne córeczki, nieśmiałe i rumieniące się po same uszy na widok człowieka obcego, chichoczą w kąciku, a rozmowa ich kręci się jak w zaklętem kółku, na dawno obrabianym przez nie temacie. Gwarzą tedy o kwiatku żółtym, jaki mają przypiąć do kapelusza, o pomarańczowych wstęgach, o kwiatkach w okienku księdza Wikarego, o zeszłoniedzielnych nieszporach; no, i wreszcie o jakim panu Hiacyncie lub Dominiku, który jednej z nich wpadł w oczko, i umieścił swój obraz w dziewiczem serduszku.

Synalkowie dorośli, atletycznej budowy, na których muskularne ramiona spojrzałby pożądliwie każdy właściciel fabryki lub warsztatu, rozprawiają szeroko o wypraktykowanych sposobach „obchodzenia dzika”—o psach gończych, lub o wysokich zaletach bułanka, który gdyby nie kulał, mógłby śmiało stanąć w wyścigowych szrankach; a gdyby posiadał obydwa oczy, to mógłby śmiało skakać przez wszystkie przeszkody i bariery.

Owóż to jest mniej więcej cały repertuar tematów do pogadanki wieczornej; oto wszystko czem się raczy zgromadzona pod jednym dachem rodzina.

W lecie ma ona zamało czasu na rozmowy, szczupła fortuna w trudnych, jak dzisiaj, dla gospodarstwa wiejskiego warunkach, przy przedpotopowym sposobie prowadzenia interesów, wymaga dużej pracy, aby kilkoro ludzi odziać i wyżywić. To też ze wschodem słońca ojciec już klnie siarczyście na polu,—kulawy bułanek dźwiga na przemiany buńczucznych braciszków—a buziaczki dziewczątek nabierają ciemnej barwy, pod palącymi pocałunkami słonecznych promieni. Gdy noc nadejdzie, zmęczeni, posiliwszy się czemkolwiek, rzucają się z upragnieniem w objęcia Morfeusza, aby wypocząć, i nazajutrz powstać ze świtem do dalszej pracy.

W zimie inaczej. Po krótkim dniu następuje długi wieczór. Mróz zapędza wszystkich pod strzechę i rozpoczyna się gawędka, zawsze niemal jednakowa, lub z bardzo małemi waryantami, o przedmiotach powyżej wskazanych.

Rozmowa, która może uśpić każdego z postronnych, która wreszcie ich samych nuży i nudzi,—bo nim zegar wydzwoni dziewiątą, już ojczulek przymyka powieki, nie widzi, iż mu fajka zagasła, synalkowie ziewają bez ceremonii, a panienki spoglądają zukosa na drzwi swego pokoju.

I takie mniej więcej posiedzenia odbywają się codziennie, od pierwszych dni października, aż do samej wiosny; naturalnie z koniecznemi zmianami, spowodowanemi przez odwiedziny sąsiadów, imieniny proboszcza, lub wyjazd do sąsiedniego miasteczka.

. . . .

Szkoda ich.

Prowincya, to taki bogaty materyał. Ileż by można wydobyć z niej pożytku dla społeczeństwa i dla niej samej — ile materyalnych i moralnych korzyści, gdyby jej ukazać chociaż odrobinę oświaty, chociaż cokolwiek z tego, co dla każdego człowieka o średniem wykształceniu jest przystępne.

Ci młodzieńcy, z których oczu tryska młodość, siła i życie, mogliby być znakomitymi fermerami na swej szczupłej posiadłości:—podnosiliby dochody, gdyby mieli ochotę zajrzeć do jakiej rolniczej książki, lub gazety. Umysł ich rozjaśniłby się znacznie, specyalność wydoskonaliła, mieliby o czem więcej do pomówienia, aniżeli o ogarach i kulawym bułanku.

A te piękne dziewczątka, żwawe i zgrabne jak wiewiórki, te wiecznie śmiejące się i szczęśliwe dziewczęta, z których twarzyczek nie schodzi nigdy krasa świeżego rumieńca. One czytałyby chętnie książki i pisma. Zasmakowałyby w nich, bo są z natury ciekawe.

Dostarczcie im tylko sposobności po temu, dajcie im dzieła umiejętnie wybrane, a zobaczycie jakiemi będą żonami, jakiemi matkami.

Młodzież wychowana na wsi, to bogaty materyał;—poczciwości, serca tam bardzo wiele. Tych zepsucie nie dotknęło jeszcze swym jadowitym oddechem, są oni prości jak przyroda, która ich otacza.

To grunt, na którym można siać dobre ziarno, nie z nadzieją ale z pewnością, iż pożądany a piękny plon przyniesie.

Są w ustronnych zaciszach, pomiędzy zaściankami, jednostki, które miały lub mają zetknięcie ze światem wiedzy i światła—są tacy, którzy albo sami wycofali się ze zgiełku miejskiego, albo też rzuceni wirem losu osiedli w tych cichych zakątkach prowincyi.

Otóż ci właśnie mają względem swych sąsiadów bardzo ważne obowiązki. Świadomi korzyści jakie wiedza i oświata przynosi, cieszący się zaufaniem uboższej duchem braci, powinni gorąco wziąć do serca najpilniejszą tej braci potrzebę, i powinni wszelkiemi siłami starać się krzewić pomiędzy nią chęć do czytania, i umysłowych rozrywek.

Sposobności po temu nie zbraknie.

Ludzie jednego zakątka, mieszkańcy jednej parafii znają się wszyscy wybornie. Czy to więc przez stosowną rozmowę, czy przez udzielenie książki własnej, nie trudno zwrócić uwagę czyją należy, na tę ważną i konieczną potrzebę.

Najtrudniejszy jest początek, pokażcie im książki, dajcie w nich zasmakować, a później już sami zapytają o nie. Stopniowo, czytanie stanie się ich potrzebą; będą sami starali się o książki. Czyż potrzeba wskazywać na Prusy, gdzie nikogo nie dziwi poważna gazeta znajdująca się i czytana w izbie włościanina?

Dobrej woli ludzi myślących, porządnie uorganizowanego kolporterstwa, a ślimacza skorupa pokrywająca świat duchowy zaściankó̀w musi pęknąć i smutne położenie dzisiejsze, zmieni się na lepsze.

Wtenczas długie zimowe wieczory staną się prawdziwą przyjemnością, rozrywką pożyteczną, która całą rodzinę zgromadzi przy jednym stole, ożywi ją i zajmie wspólną i poważną rozmową.

A ci, którzy dzisiaj wyrzekają na długość tych wieczorów, którzy nie wiedzą, w jaki je sposób przepędzić— z niecierpliwością będą wyglądali szarego zmroku i ani się obejrzą, kiedy zegar dziesiątą wydzwoni godzinę.

MOZAIZM

według Edgara Quinet'a

przez

EDWARDA CHŁOPICKIEGO.

III.

Poezya i filozofia hebrajska.—Job.

Najwyższe bożyszcze Wschodu wcielając się w świat widomy, ciągle się z nim razem roz-

wijało i rozrastało, i to właśnie było powodem, że proces tworzenia ciągnął się tam do nieskończoności, a przeto i księgi święte zawierały w sobie wieczystą Genezę. Przeciwnie, u Hebrajczyków, skutkiem odrębnego ducha ich wiary, dosyć było kilku wierszy, paru pobieżnych strofek dla opowiedzenia faktu narodzenia się świata. Elokim tworzy go jednym błyskiem swej woli, następnie odtrąca go zdala od siebie,—i zasiada na uboczu, po za miryadami nieb i powietrznych przestrzeni. Podobna idea jakaż może stworzyć poezyą? zapewne nie taką, jaką widzimy w długich opowiadaniach wspaniałego indyjskiego epos. Poemat hebrajski odpowiedni jest ich bóstwu, nagły i przzolotny jak to bóstwo, podległy jego woli kapryśnej i niezłomnej.

Tam gdzie wszystko jest cudem, sam cud zniknąć musi. Jeżeli twórca świata jest zarazem i jego duszą: nadzwyczajność staje się niejako rzeczą zwyczajną śród otaczającej nas pzyrody. Jeżeli przeciwnie twórca nie zlewa się ze swem stworzeniem, każda tam zmiana bije w oczy, jako niespodziewana interwencya jego woli; i to właśnie rodzi ideę cudowności. Idea ta powstała jednocześnie z idei wolności bożej wywołuje entuzyazm i zachwyt, a poeta który strzeszcza w sobie te uczucia—staje się prawdziwą poezyą cudu.

U Hebrajczyków zbiór podobnych psalmów zawiera w sobie pieśni, należące do wszystkich prawie dziejowych epok Judei, od Mojżesza do Machabeuszów. Echo pokoleń, ten chór pierwotny ludu, daje się najwyraźniej słyszeć za panowania Dawida. Śpiewy należące do owej epoki stają się wzorem, według którego tworzą się wszystkie inne, i to właśnie jest powodem, dlaczego tradycya wszystkie te pieśni bez wyjątku przypisuje jednemu autorowi, chociaż przypatrzywszy się nieco bliżej można tam łatwo dopatrzeć oddzielny charakter każdej epoki. Z tego to tronu poezyi, rosnącego coraz wyżej, postać Dawida, niesiona na kantykach Judei, olbrzymieje także coraz bardziej. Zasiada on obok swojego Boga na wzgórzu świętem. Ulatuje ponad dziejami jako idealne uosobienie Izraela. Ideał ten stara się rozszerzyć i upiększyć myśl każdej nowej epoki; chce ją uczynić obrazem wszelkich nadziei i trwałym emblematem przyszłości. Dlategoż to tryumfalny ten chór psalmów rozlega się ciągle, jak w czasie wojny tak i w czasie pokoju, wzrasta on i daje się słyszeć dotąd, dopókąd żyje naród hebrajski; razem z narodem swym i on umiera Z chórem tym spajają się nierozdzielnie osobistości proroków, historyków i moralistów. rytmem swym oznacza on pulsacye życia, wszystkich idących po sobie z kolei pokoleń. Niekiedy śród dziejowego pochodu, którąś ze strun tej pieśni pęka i naród po jakichś rozdzwięcznionych stopniach złowrogiej wieszczby zdaje się lecieć w przepaść nieuchronną. Innym znów razem śród ogólnego upadku i zwątpienia, śpiew tryumfu odzywa się gdzieś zdaleka—i lud oniemiały powstaje z popiołów, by zacząć żyć nową nadzieją i nową obietnicą.

Ale nie zawsze poezya hebrajska trzyma się w ścisłych granicach boskiej admiracyi i proroctwa. Znane jej bywają także uczucia zwątpienia i niekiedy nawet i rozpaczliwego bluźnierstwa. Jeden z najświetniejszych i najdoskonalszych jej pomników na to zdaje się tylko był stworzony, aby obalił wszystko to co dzwignęły inne. Poemat Joba jest właśnie tem cudownem wyznaniem, rzuconem przez człowieka Bogu, w jego własnej świątyni. Jaki zachodzi stosunek pomiędzy tą księgą a resztą Pisma Świętego? Jakim sposobem z łona wiary mogło się narodzić proroctwo niedowiarstwo? Jestci to natchnienie zbuntowanego anioła, ukrytego w najświętszym ze świętych, albo gra to tylko umysłu, bawiącego się w dowolne rozkiełznanie sił zniszczenia? Zamiast zgłębić te sprzeczności, wielu z pisarzy wolało przypisać je pierwiastkowi cudzoziemczyzny, chociaż istotnie nie ma w starym Testamencie nic bardziej rdzennie związanego z wiarą hebrajską nad tę księgę Joba. Im się ona więcej zdaje od niego oddalać tem się bardziej w rzeczywistości doń zbliża; tak że nietylko trudno oddzielić ją od Biblii, ale nie podobnaby nawet było zrozumieć wiarę Mojżesza bez rozpaczliwych bluźnierstw Joba.

Dotąd zazieraliśmy tylko w wielki i błogi spokój, jaki myśl ludzka czerpała długo z objawu jedności bożej, teraz z kolei zajrzymy i w ujemną jedności tej stronę. Głównym jej niedostatkiem była kwestya *początku złego* tem bardziej bijąca w oczy, że nie istniała już wcale w innych religiach Wschodu. Gdy zapytywano Indyanina lub Persa skąd pochodzi niesprawiedliwość i cierpienie w naturze i pomiędzy ludźmi, odpowiadano bez wahania się: „złe to pochodzi od złych bogów, prowadzących walkę z dobrymi.“ Akryman walczy z Ormuzdem, Tyfon z Ozirysem, Siwa z Bramą. Walka ta usprawiedliwia dostatecznie nadużycia ludzkie, oraz uwzględnia istnienie w świecie organicznym szkodliwych pierwiastków. Tą odpowiedzią kwestya początku złego na całym prawie Wschodzie dawała się do czasu załatwić i tłómaczyć.

Do Judei nie mogła się ona stosować wcale. Jeżeli Bóg jest jeden, skądże początek złego? jeżeli jest panem, dla czegóż cierpią uczciwi? jeżeli mógł stworzyć świat według swej woli i serca ludzkie dzierży w swej dłoni, dlaczegoż tryumfują źli, niesprawiedliwość uwieńczona i prześladowana niewinność. Rzucając wobec siebie i świata podobną enigmę, naród hebrajski musiał koniecznie szukać i jej rozwiązania. Księga Mojżesza jest właśnie tą tamą filozoficzną księgi Joba — próbą jej wykładu. Niech więc uczeni nie robią Joba cudzoziemcem, Chaldejczykiem czy Arabem, w rzeczywistości najprawdziwszy to Izraelita i księga jego bluźnierstw, mająca taki związek z Biblią, jak odpowiedź z pytaniem, nie jest niczem więcej tylko najzupełniejszą religijną demonstracyą.

Przypatrzmy się jej zbliska. Oparta na starem podaniu, treść księgi tej czyli poematu Joba, zaczyna się w niebie. Szatan nie jest tam jeszcze zupełnie pokłócony z Bogiem. Należy on jeszcze, jako jeden z dobrych aniołów do boskiego orszaku i radzi panu swemu aby uczynił próbę, czy wiara jego nie przedzierżgnie się w bluźnierstwo. Bóg się zgadza, i cios tej uroczystej próby pada właśnie na samego autora cudownej księgi. Był on potężnym monarchą i władzcą, a oto dotknięty palcem Najwyższego, tarza się w prochu i nicości. Jako człowiek uczciwy oburza się na tę niesprawiedliwość losu i staje do walki. Walka poczyna się lekkiem niedowierzaniem złączonem z adoracyą; jest to jakby ukryty w świętych zamknięciach namiotowego cymboryum wąż pustyni. Śród tego procesu z Bogiem, w słowach i myślach Joba, co chwila spotykają się kontradykcye, będące następnie powodem ludzkich domysłów, że księga ta składa się z ustępów nie jedną pisanych ręką. Omyłka to była zupełna; nie poemat jego rozpada się na części, a jego serce. Targany rozpaczą, podburzony niesprawiedliwością przerzuca się w lwich padskokach od wiary do zwątpienia i naodwrót od zwątpienia do roztopienia w zdroju łez skruchy. Modli się i zaprzecza, wielbi i klnie jednocześnie. Dusza jego w tych gwałtownych podrzutach odbiega daleko od starego mozaizmu i w losie swoim trafia bezwiednie na zbliżające się królestwo idei chrześcijańskiej. Najbardziej dlań dotkliwym jest brak wszelkiego echa ze strony dawnych jego przyjaciół i niemożność porozumienia się z nimi śród godnych spółczucia mąk jego ducha. Oni pojmują tylko przeszłość, i są prawdziwymi faryzeuszami wobec kroczącego drogą cierniową przedstawiciela Starego Testamentu. Główną treścią ich opozycyi jest niedopuszczanie istnienia złego na ziemi. Na podobny aforyzm—Job odpowiada ukazaniem ran swoich i przypomnieniem życia swego bez skazy. Sprzeniewierzeni przyjaciele dla poparcia fałszywych zasad tworzą urojone winy i osądzają go jako zasługującego na karę przestępcę. Śród sporów tych i walk Job traci wiarę w Boga, w ludzi, nawet w siebie samego. Ale w tej właśnie stanowczej moralnego konania chwili, podczas niewstrzymenego pędu w przepaść nieuniknioną, nagle spostrzega on przed sobą promyk nadziei i..... *nieśmiertelność*. Życie wieczne i zmartwychwstanie—słowa przez żadne jeszcze zakon usta niewymówione—jaśnieją na tle moralnej burzy jak błyskawica, nato tylko zapalająca się chwilowie, ażeby zaraz potem większą jeszcze noc i przepaść zostawić poza sobą. Zmęczony walką z ludźmi, Job bezwiednie zwraca się do Boga i rzuca u jego podnóża znaną objekcyą: „Quare ergo impii vivunt et confortati divitiis?”

Obłok się roztwiera i wielki Interlokutor rozpoczyna dysputę z Jobem. W dyspucie tej nie uznaje on czczych twierdzeń poziomego gminu; odpycha ich pospolite adoracye i przeżytą wiarę; przekłada nawet nad nią rozpaczliwe Joba niedowiarstwo—jako pełne Boga, przyszłości i nadmiaru życia rewelacye—ale w końcu gromi go zaprawionem cudowną ironią pytaniem: „Gdzieś ty był wówczas kiedym zakładał fundament ziemi i powstrzymał bieg rozhukanych fal oceanu?” Słowo to rozwiązywało dysputę. Nie była to już przekonywająca odpowidź, a głos grzmotu, poezya piorunu, bijącego z chmury i obracającego rozum ludzki w garść popiołu. Wszelkie dalsze rezonowania, wszelkie logiczne wywody utonęły w potopie wielkości bożej. Job zamilkł zwyciężony nie mocą dowodu a mocą cudu, olśniony ogromem nieograniczonej Pana swego potęgi!

Ale czy rzeczywiście ukorzony w ten sposób Job nie miał nic do odpowiedzenia? Miał—i dużo, lecz brak mu już było siły i wytrwania do dalszej walki. Przedewszystkiem mógł powiedzieć swojemu strasznemu przeciwnikowi: „Dlaczegoż tworząc morza i lądy, ptaki i zwierzęta, nie dałeś mi skorupy i kolczugi Lewiatana, dla odporu ran i zgryzot własnej myśli? dlaczego nie dałeś mi szczęśliwości orła w obłoku, niezależności i uciechy konia w pustyni? Oni oddychają swobodnie wiatrem szerokiego przestworza—i są z tego radzi; ja zaś przez życie cnotliwe staram się o spokój na ziemi, a znajduję męki i niezasłużone katusze! Ach mądrość twoja, jak widzę, wyczerpała się śród tworzenia rzeczy martwych, nie mając nam ludziom do dania nic—prócz—chaosu i nieporządku. Tyś przygotował pokarm dla orła i sokoła; zapominając o pokarmie dla duszy ludzkiej. Dając najszlachetniejsze kształty ciała ulepionemu z gliny, ducha mojego skazałeś na wieczne poniżenie i upadek. Natoś stworzył wspaniałość niebieskiego firmamentu, abyś się mógł dosadniej naigrawać z mojej nicości; natoś uwieńczył gwiazdy złotą aureolą, ażeby mdz lepiej wyszydzać mój rozum niedołężny!”

W czemże się przeto zawiera ostateczne rozwiązanie wszystkich zawikłań i trudności Mozaizmu? Rozwiązanie to zawiera się tylko w Chrystyanizmie. Bez ustanowienia przez wiarę w przyszłe życie właściwej równowagi,

zarzuty czynione staremu światu nie dadzą się w żaden możebny sposób usunąć. Jedna tylko *nieśmiertelność chrześcijańska* uprawni istnienie złego i dobrego na ziemi. Dla zachowania równowagi niedosyć jest posłać Jobowi nowe trzody jałowic i nowych synów. Dla dopełnienia przedwiecznej sprawiedliwości nie dosyć przez ręce krewniaków obdarzyć go srebrną monetą i pierścieniem złotym. Trzeba by Job otrzymał Ewangeliczne niebo, by synowie jego wyszli na spotkanie w przybytkach niewidomych światów, gdzie brak już wszelkiej sprzeczności, brak złych ludzi, brak ruin i spustoszenia. Trzeba, aby nie jakieś przelotne i krótkie jak sen lata ziemskie, ale całe wieki przeznaczone dlań były na gojenie ran niezliczonych. Gdy to nastąpi, wówczas tylko złe będzie naprawione, niesprawiedliwość sprostowaną, tajemnica wiary rozwiązaną.

Chciej, jeżeli łaska, wykrzesać z ducha starego zakonu rozwiązanie tych zagadek! Daremna praca. Sens poematu dotąd zostanie niedomówiony, dopókąd nie oświeci ostatnich strof jego jutrzniany blask Ewangelii. Cała wielkość księgi Joba, zawiera się w tem właśnie, że wykraczając poza obręb Starego Testamentu, dopomina się ona o przyjście nowej społeczności. W głębi to bluźnierstw tych Joba żyje zarodek przyszłego Chrystyanizmu; pośród nocy faryzeizmu zaczyna już on zwolna kiełkować. Skrępowany starym zakonem poeta miota się w okowach, wyciąga ręce do przyszłości, i ściska w swych skostniałych ramionach — pragnienie nieziszczone. Mojżeszowi dane było rzucenie myśli, Jobowi zgłębienie jej, a Chrystusowi tylko ostateczne jej rozwiązenie.

Stary Testament pełen jest zagadkowych zapytań. Rewolucye ziemskie i niebieskie, równość, jedność rodzaju ludzkiego, zło i dobro doczesne: stanowią treść nieskończoną tych zapytań: Jeden tylko Nowy Testament odpowiada na nie stanowczo. Tam — widzimy próżnie straszne, przepaści, wielkość potworną, myśl ludzką pędzącą w obłędzie; tu—wszystko jest spokojem, logicznym wynikiem, systematem skończonym.

Wielu z pisarzy dawnych i nowoczesnych, poemat Joba odnoszą do najdawniejszych czasów hebraizmu, a nawet niektórzy przypisują go samemu Mojżeszowi. Twierdzenie to łatwe jest do zbicia, gdyż w żadnej historyi nie dają się widzieć w parze sceptycyzm z objawieniem; ażeby wpaść w niewiarę, trzeba wprzód żyć długo, gdyż sceptycyzm jest początkiem śmierci, i zwykle bliższy on grobu niż kolebki. Nie, filozofia ta hebrajska jest widocznie owocem ich kończącego się, a nie zaczynającego się życia; smutne cienie niewoli ciążą na niej widocznie i co najmniej odnieść ją należy do czasów Izajasza.

Prawda, że księgi Joba nie są jeszcze ostatecznem słowem hebrajskiego sceptycyzmu. Jeżeli przeszło wiele wieków od Mojżesza do Joba, zapewne niemniej czasu upłynęło od Joba do Eklezyasty. W tej ostatniej księdze opór duchowy znika, żal i wyrzuty cichną pod skostniałem starości tchnieniem. Chłód, zaprzanie się i ogólne zmęczenie świadczą wyraźnie o ostatecznym starych Hebrajczyków upadku. Gdzież się podział ów dawny duch ich proroctw? ani jednej już iskierki nie pozostało pod tym zastygłym popiołem; życie się wyczerpało razem z nadzieją. Zbyt dużo pragnień gorących przeminęło; zbyt się dużo oczekiwań nie ziściło; wszystko przeszło oprócz wstrętu dla ziemi, nieba i dla samego siebie. To też, gdy obrzucimy jednem szerokiem spojrzeniem te różnobarwne epoki dziejów, tych proroków, patryarchów, sędziów i królów; ten entuzyazm; te smutki, te zwycięztwa, te przegrane, te z heroizmem znoszone wygnania i wreszcie te złowieszcze na odrzwiach starej świątyni hebrajskiej słowa — *nicość nicości i wszystko nicość:* widzimy jawnie, że się Stary-Testament skończył, że hebrajskie cymboryum rozpadło się na części, że Jehowa został zagrzebany w popiołach przeżytej myśli. Odtąd Ojciec pozbawiony przyszłości, zaczyna swoję pasyą na skalistym szczycie Golgoty. Czas jest! aby Syn przybył dla objęcia spadkobierstwa. Wschód się zapada, uginając się pod własnym ciężarem. Stary zakon znika a Nowy się ukazuje *w blasku nieśmiertelnym nadziemskiego dusz pocieszenia!*

(*D. n.*)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

XI. Alicya.

Burton wśród gwałtownego wzruszenia z założonemi rękoma i spuszczoną głową biegał po pokoju. Kiedy się drzwi otworzyły i wszedł Jerzy, zatrzymał się i wyrzekł ponuro i ze stanowczością:

— Tak nie może być dłużej, Jerzy; tak, na Boga, dłużej być nie może, musi zajść zmiana.

— W czem?

— W położeniu biednej Alicyi, zawołał Burton. Właśnie była tu u mnie. Dotychczas już młoda nasza pani postępowała z nią w sposób oburzający, ale dziś zdaje się, że ją dyabeł do reszty opętał. Półgodziny może temu, kiedy Sennora wróciła po powitaniu swego męża, podniosła rękę na biedne to dziecię.

— Istotnie? rzekł Jerzy i wesoły uśmiech poraz pierwszy zawitał na jego usta.

— I ty się śmiejesz z tego? zawołał Burton zdziwiony—kiedy ja, obcy dla niej zupełnie, mam łzy w oczach?

— Czegoż chciała od ciebie?

— Mówiłem jej dawniej jeszcze, że mam nadzieję pomieścić ją u pewnej rodziny chileńskiej. Przyszła mi powiedzieć teraz, żebym się więcej nie fatygował, gdyż nie podobna jej dłużej czekać na to.

— A cóż zamyśla? zawołał Jerzy prędko.

— Zgodzić się za prostą służącę. Mówiła mi, że nie może tu dłużej wytrzymać, że wyczytawszy w gazecie ogłoszenie niemieckiej jakiejś rodziny, która poszukuje młodszej, zdecydowała się przyjąć to miejsce. Ależ, Jerzy, na Boga, co ci się stało? Przecież rzecz to wcale nie do śmiechu! Czyliż nie masz serca?

— Czy wiesz, Dick, rzekł Jerzy, zostawiając tymczasem pytanie to bez odpowiedzi, czyja to wina, że Alicya dziś doznała takiego okrucieństwa?

— Czyja? to tylko kaprys małego szatana.

Jerzy potrząsnął głową.

— Spudłowałeś—moja.

— Twoja?

— Przypominasz sobie pewnie, żem ci opowiedział, jak na dwa dni przed ślubem moim porwanym zostałem z Nowego-Jorku i narzeczona moja nie mogła wiedzieć, co się ze mną stało?

— Pamiętam—a więc?

— Czy wiesz, kto był tą narzeczoną?

— *Amigo*, nie znam prawie nikogo w Nowym-Jorku?

— Pani Hewes.

— Do pioruna! zawołał Burton zrywając się, widziała cię?

— Widziała; w pokoju pana Hewes.

— I to było twoja narzeczona, Jerzy? Teraźniejsza żona pana Hewes?

— Teraźniejsza żona pana Hewes.

— Święty Boże. Człowieku, zawołał Burton, masz szczęście! Porwany na morze, rzucony po za granice świata—przybywa tu, lata jak zatruty, blady i wynędzniały—a jednak nie jest mężem tej kobiety! Słuchaj, jeśli jeszcze masz choćby iskierkę rozumu w twej mózgownicy, padnij teraz na kolana i podziękuj Panu Bogu, że ci zesłał aniołów opiekuńczych w kurtkach marynarskich—a gdybyś nawet był wygotował dwadzieścia wielorybów, to nie byłaby cena zbyt wysoka. Ale jakże się to stało? Kiedy opuściłeś Nowy-Jork?

— Przed sześciu miesiącami przeszło.

— A ślub miał być wtedy za kilka dni?

— Tak jest.

— W takim razie przecież wcale to być nie może, gdyż od tak dawna prawie Hewes jest jej małżonkiem — musiałaby przeto wyjść za mąż bezpośrednio po twojem zniknieniu!

— Tak też było—z powodu dumy zadraśniętej i obrażonej kobiecości — z przyczyny niedoszłego wesela.

Burton poświstywał przez zęby.

— Dziwne! Niesłychane! Nie do uwierzenia! Tebaż jeszcze, żebyście teraz oboje zeszli się tu u oceanu spokojnego! Z humoru jej wnosząc, zdaje się jednak, że nie bardzo ją ucieszyło spotkanie z tobą. Czy Hewes niezazdrosny?

Jerzy zwlekał z odpowiedzią.

— Nie, rzekł nakoniec, spotkanie nasze zresztą było bardzo krótkie i wymieniliśmy tylko kilka słów. Pani jest jeszcze przekonania, że opuściłem ją złośliwie i w zagniewaniu.

— A jeśli się dowie, że tak nie jest?

— Wszystko mi jedno. Powziąłem już niezłomne postanowienie.

— Czy wolno wiedzieć jakie?

— Dziś jeszcze nie, Dick, ale już jutro może dowiesz się o wszystkiem. A co się stanie z Alicyą?

— Przysięgam na Boga, że nie wiem, zawołał Burton, nie mogę nalegać na Chileńczyków, nie wolno mi również potępiać aziewczyny, że chce uciec z tego piekła.

— Ale Mr Hewes pozwala na takie obchodzenie się z Amerykanką?

— Czy pozwala? Cóż ma począć z tą kobietą?—Kontent, że jego samego zostawia w spokoju. Na Boga, Jerzy, powiedz mi, co ci się stało? Przez cały czas aniś się roześmiał, a dziś cały dzień twarz ci jaśnieje z radości, tak, że nawet nieszczęścia biednej sieroty przyjmujesz obojętnie. Nie rozumiem cię.

— Kochany przyjacielu, zaśmiał się Jerzy—głowę mam pełną własnych myśli i projektów—tak pełną, że się w niej nic już pomieścić nie może, nie dziw się więc. Z tem wszystkiem los nieszczęśliwej tej dziewczyny prawdziwie mnie zasmuca, skoro zaś tylko dojdę do ładu we własnej mej sprawie, pomyślimy i o niej. Może byłoby najlepiej odesłać ją do Nowego—Jorku.

— Nie wiem, czy zgodzi się na to, rzekł Burton, chciała bowiem przecie uniknąć pobytu w tem mieście.

— Trzeba spróbować—odrzekł Jerzy;" wszak niepodobna, aby przez całe życie tułała się tu pomiędzy obcymi. Ale teraz, Burton, przedewszystkiem obliczmy się. Mr. Hewes pożyczył mi pewną sumkę; dlatego chciałbym

najsamprzód z tobą rachunki załatwić. Pewnie dziś jesteś zajęty.

— Bardzo—w skutek nieobecności Mr. Hewesa, narosło mnóstwo zaległości, które trzeba odrobić, oprócz tego dużo mamy ekspedycyi, do wyprawienia najbliższym parowcem. Ale o godzinie piątej będę na usługi twoje, o tej godzinie bowiem kończymy zajęcia. Będziemy znów jedli obiad razem?"

— Ma się rozumieć; czasu zaś, jaki mi jeszcze do obiadu pozostaje użyję na przechadzkę i posłuchanie mych myśli. Koniecznem jest, abym sobie samemu jasną zdał sprawę z niektórych okoliczności. A więc do widzenia! O godzinie piątej wstąpię po ciebie.

Jerzy wyszedł. Kroczył przez miato ponad morze ku południowi, poczem wstąpił na wyżynę spadzistą wiodącą do latarni morskiej.

Dużo tu widział nowości; lud obcy w dziwnym stroju narodowym, w krutkich *ponszo* i zalotnie zarzuconych *mantilla*, szczególną uprząż na koniach o olbrzymich strzemionach i ostrogach, cały świat nieznany—ale zaledwie rzucił wzrokiem na to wszystko, zadużo bowiem miał nowin we własnej głowie i sercu—a wszystkie te nowiny dokładnie rozpatrzeć mu należało, by samemu sobie jasną z nich zdać sprawę. Wszelako zmarszczki posępne ustąpiły mu z czoła; gdy zaś stanął obok latarni morskiej i rzucił się potem na ziemię krótką trawą porosłą—i spoglądał na dalekie, szare morze, po którem gdzie niegdzie przesuwał się biały żagiel—cicha jakaś wesołość zaległa jego rysy, a oko nie zatapiało się już w ziemię wśród zadumy, ale ze spokojem i swobodą wlepione było w sine morze i niebo słoneczne.

Tak przeleżał kilka godzin, a kiedy wkońcu wracał do miasta, postępował krokiem lekkim i sprężystym, zajęty cały nowemi wrażeniami, które nastręczały mu się tu co chwila.

Skoro zaszedł do miasta, wyminęła go jakaś młoda dama, która szła prędzej od niego; popatrzył za nią i poznał Alicyą Morhouse spieszącą z dość ciężką paczką w ręku.

— Miss Morhouse, rzekł zdziwiony—dokąd pani dąży?

Alicya zarumieniła się po uszy, zwolniła jednak kroku i odpowiedziała: Do domu, Sir—niosę suknie dla lady.

— Doprawdy? a czy nie ma w domu służącego, którby je odniósł? Proszę, pozwól Pani mnie, — i sięgnął po paczkę. Alicja nie chciała mu jej oddać?

— Czy pamiętasz pani jeszcze, Alicyo, rzekł, biorąc za paczkę, że i dawniej, kiedyś pani przychodziła de moich sióstr, służyłem ci za kawalera, często cię odprowadzałem do domu i nosiłem ci robótkę ręczną?

— Byliśmy wtedy dziećmi, panie Halay, rzekło dziewczę trwożliwie.

— I jakeśmy wtedy rozpowiadali sobie sny swoje? Czy wiesz, pani, ciągle mi się jakoś zdaje, że jesteśmy jeszcze dziećmi i żeśmy mieli bardzo przykry sen oboje, który sobie także opowiedzić musimy? Proszę, zostaw mi pani tę paczkę; wszak i bez tego jej nie puszczę.

Alicya, lubo niechętnie, musiała się zgodzić na prośbę Jerzego, który po krótkim przestanku kiedy znów szli obok siebie, dodał:

— Dziwna rzecz, że spotykamy się w tem miejscu i w tej chwili—oboje mniej lub więcej niedobrowolnie. Czy pani wierzysz w przeznaczenia, Alicyo?

— Wierzę w ciężkie przeznaczenie, które nas dotknęło *oboje*, odrzekło dziewczę głosem zaledwie dosłyszanym. Obrje—chociaż w różny sposób—pod którego ciężarem uledz musimy.

— Ja myślę tak samo, szepnął Jerzy z uśmiechem — właśnie niepozostaje nam nic innego.

Alicya ze zdziwieniem spojrzała na niego. Ona wcale nie żartowała odpowiadając, mógłże on żartować? Ale po chwili Jerzy mówił dalej:

— I czy pani mile wspominasz ów czas, Alicyo, kiedyśmy dziećmi będąc, bawili się razem? Ja, zdaje mi się, byłem wtedy wielkim swawolnikiem.

— Miły Boże, rzekło znów dziewczę, toć to jedno wspomnienie, co mi pozostało i którem żyję.

— I nadzieją.

Dziewczę lokko potrząsnęło głową.

— Nadzieją nie, Alicyo? zawołał Jerzy prędko. Czyż nie ona jedynie dodaje nam otuchy w nieszczęściu—i czy sądzisz pani, że znajdując się na pokładzie wśród strasznego położenia, nie byłbym bez namysłu wskoczył w morze, by położyć koniec nędznemu życiu—gdyby mnie nie krzepiła nadzieja?

— Jesteś pan mężczyzną i wiedziałeś, że cierpienia twoje raz się skończyć muszą,—rzekło znów dziewczę, mogłeś pan *działać* zresztą; my biedne kobiety tylko *cierpieć* możemy......

— *Wszystkie?* rzekł Jerzy—i usta jego znów do śmiechu się złożyły—czy i pani Hewes?

Alicya milczała — boleśne jakieś uczucie przeszyło jej serce—było to z powodu wymienienia nazwiska i to przez usta Jerzego. Nic jednak nie odpowiedziała. Dopiero, kiedy się zbliżali ku domowi, z podziękowaniem prosiła swego towarzysza o zwrot paczki, którą tenże jeszcze trzymał.

— Jak będziem w domu, Miss, rzekł potrząsając głową, nie wcześniej. Wtedy oddam ją służącemu.

— Ale mnie z tego powodu spotkają nieprzyjemności, panie Halay.

— Istotnie? Czy pani Hewes w samej rzeczy tak jest bezwzględną?

— Nie powiadam tego.

— Dobrze, Alicyo, rzekł Jerzy, oddając jej paczkę, nie chciałbym być przyczyną zmartwienia pani. Ale jeszcze jedno. Niezadługo wracam do Nowego Jorku. Czy dasz mi pani jakie zlecenie?

Alicya kiwnęła głową.

— Racz pan, jeśli łaska pozdrowić swych rodziców—siostry swoje. Te jedyne może osoby, które jeszcze pamiętają tam o mnie.

— Uczynię to, rzekł Jerzy, zdjął kapelusz i poszedł tą samą drogą, którą przyszli.

Wieczór spędził razem z Burtonem, nie powiedziawszy temuż jednak nic o dalszych swoich zamiarach. Na drugi dzień długo rozmawiał z konsulem, nie dotknąwszy przecież ani słówkiem wczorajszej ich rozmowy, Mr. Hewes tylko powiedział mu, żemówił swej żonie, jaka była przyczyna nagłego jego zniknienia, ale, że ta zdaje się niedowierzać całej owej historyi, gdyż, jak się wyrażała: „ponieważ *Mr. Halay* przysłał był do domu zwykły swój ubiór starannie upakowany, okoliczność ta jest zbyt jawnym dowodem, że z namysłem przedsiębrał podróż *incognito*." Cokolwiekbądź kończyła: „jest jej to teraz zupełnie obojętnem i nie warto dłużej o tem mówić."

Kiedy jeszcze był u Hewesa, Burton przyniósł wiadomość, że widać już parowiec przybywający z północy i że ten za godzinę najwyżej przybije do brzegu. Parowiec ten zwykle przez trzy lub cztery dni zatrzymywał się w Valparaiso, potem zaś zabierał pocztę europejską i amerykańską i ruszał znów na północ.

Na dole przed domem dwóch lokai trzymało na pogotowiu parę koni wierzchowych do przejażdżki dla państwa Hewes. Skoro służący dał znać o tem, Jerzy pożegnał się z Hewesem, by znów nie spotkać się z Jenny i poszedł do kantoru do Burtona. Był jednak bardziej milczący i poważniejszy, jak wczoraj, gdy zaś Burton zapytał o przyczynę tej zmiany, rzekł wymijająco:

— Mam jeszcze coś do załatwienia, Dick, co leży mi na sercu. Żal mi biednej Alicyi—w takiej żyła przyjaźni z moimi..

— Nie chciej tylko, na Baga, ofiarować jej pieniędzy,—rzekł Burton prędko, ja tylko raz jeden zrobiłem w tym względzie aluzyą i omało, żem nie stracił jej życzliwości nazawsze. Pod *tym* względem zachowała jeszcze dawną dumę—ale tylko pod *tym*—dodał z żalem,—dziś bowiem rano, kiedy jeszcze lady spała, była u owego niemca, dla przyjęcia miejsca służącej. Spotkałem ją przypadkiem, gdy wracała do domu, stanowczo się tam zgodziła i wkrótce nas opuści.

— Biedne dziewczę!—rzekł Jerzy,—ale ja pomimo to mam dla niej propozycyę, która—jeśli mnie usłucha—przyniesie jej ulgę po tem smutnem położeniu, a może mnie usłuchać bez ujmy dla dumy swojej.

— A tą propozycyą jest?

— Pozól, niech ją wprzód wyjawię Alicyi, potem ty nam udzielisz swej rady. Sądzę, że teraz byłaby najstosowniejsza chwila do pomówienia z nią,—nieprawdaż?

— Teraz przynajmniej niktby wam nie przeszkadzał. Zastaniesz ją w jej pokoju.

— Gdzież to jest?

— Na drugiem piętrze, drzwi na wprost schodów.

— Na drugiem piętrze? Wszak to pod strychem!

— Inne pokoje używane są do przyjęcie gości,—rzekł Burton, wzruszając ramionami.—Doprawdy, sam uważam, że jako złużąca, zacnej kobiety niemieckiej będzie się miała lepiej, aniżeli tu w roli towarzyszki pani Hewes. Gdyby *ta* pani miała być twoją żoną, Jerzy, póki życia nie miałbyś spokoju!

— Ależ czy i Hewes nie winien, że się ona stała taką?

— Po części może—ale to bazyliszek skończony, którego można trochę udobruchać, nigdy wszakże oswoić w zupełności.—Ale co ci jest, Jerzy?—czyś nie zdrów?—Zbladłeś tak nagle.

— Mnie?—nic,—powiedział Jerzy z uśmiechem,—trochę jestem niezdrów, możesz zresztą sam się domyśleć, że mi to nie jest tak bardzo obojętnem, być pod jednym dachem z panią Hewes. Tak ją kochałem gorąco—ale to już przeminęło, a rozum w końcu przezwyciężył serce. Więc do widzenia. — Schodząc, znów wstąpię do ciebie.

(*d. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Towarzystwo w celu zniesienia pojedynków istnieje w Anglii i liczy w swojem gronie członków arystokracyi—armii, administracyi oraz świata handlowego, finansowego i przemysłowego. Każdy członek obowiązany złożyć Towarzystwu przysięgę, iż nigdy nie przyjmie wyzwania na pojedynek, i że w razie wynikłego sporu, zobowiązuje się takowy oddać pod wyrok sądu polubownego. Skutkiem działalności wspomnionego Towarzystwa, pojedynki w Anglii są rzadkiem zjawiskiem.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**